

W oczy dać radość

W domu Teresy radość rzadko była przyjmowana od razu.

Nie dlatego, że ludzie byli tam źli albo smutni z natury. Przeciwnie, potrafili się troszczyć. Potrafili gotować rosół dla chorego, zawieźć do lekarza, pożyczyć pieniądze, przyjechać z drabiną, wymienić zamek, przynieść ziemniaki z piwnicy, zostać przy dziecku, gdy trzeba było nagle iść do pracy.

Był to dom ludzi pomocnych.

Ale pomocność nie zawsze umie patrzeć.

Kiedy ktoś przynosił problem, dom ożywał.

Kiedy ktoś przynosił ból, ktoś od razu szukał maści.

Kiedy ktoś przynosił rachunek, siadano z długopisem.

Kiedy ktoś przynosił wstyd, spuszczano głos.

Kiedy ktoś przynosił chorobę, zaczynała się organizacja.

Ale kiedy ktoś przynosił radość, w domu robiło się dziwnie.

Jakby radość była czymś nie do końca poważnym. Jakby wymagała sprawdzenia, zanim dostanie prawo do stołu.

— Mamo, zobacz! — wołała kiedyś mała Marta, wbiegając do kuchni z rysunkiem konia, który bardziej przypominał psa na bardzo długich nogach.

Teresa obierała ziemniaki.

— Połóż na stole, zaraz zobaczę.

Zaraz znaczyło po zupie, po praniu, po telefonie do ciotki, po znalezieniu rachunku za gaz, po poprawieniu krzywo wiszącej firanki. Rysunek leżał na rogu stołu. Najpierw dostał kroplę wody, potem okruszki chleba, potem ktoś położył na nim gazetę.

Wieczorem Teresa powiedziała:

— Ładny ten piesek.

— To koń — odpowiedziała Marta.

— No widzisz, trzeba było dorysować grzywę.

Marta zabrała kartkę.

Nie płakała.

Dzieci nie płaczą za każdym razem, kiedy radość nie zostaje przyjęta. Czasem tylko uczą się, że radość trzeba przynosić ostrożnie.

Ojciec Marty, Jan, był człowiekiem praktycznym.

Praktyczność także może być formą ślepoty, jeśli za szybko podchodzi do cudzej iskry z miarką.

Gdy Marta dostała pierwszą piątkę z dyktanda i przybiegła z zeszytem, Jan powiedział:

— Bardzo dobrze. A ile osób dostało piątki?

Gdy wygrała konkurs recytatorski, zapytał:

— Co dostałaś?

— Dyplom.

— Tylko?

Gdy pokazała mu znaną w trawie biedronkę z wyjątkowo dużą liczbą kropek, powiedział:

— Uważaj, żeby cię nie pobrudziła.

I tak, krok po kroku, Marta nauczyła się, że dorośli nie zawsze widzą to, co się im pokazuje.

Czasem widzą koszt.

Czasem przydatność.

Czasem zagrożenie.

Czasem błąd.

Czasem obowiązek, który zaraz z tego wyniknie.

A dziecko przecież nie zawsze woła „zobacz” dlatego, że odkryło coś ważnego dla świata.

Czasem woła:

zobacz ze mną, zanim moja radość zostanie sama.

Marta dorosła.

Nie stała się zgorzkniała. Życie nie zawsze robi z niezobaczonego dziecka nieszczęśliwego człowieka. Czasem robi człowieka sprawnego, dobrego, trochę cichego w miejscach, gdzie kiedyś było najwięcej światła.

Miała męża, Pawła, syna Ignasia i córkę Łucję. Pracowała w biurze projektowym. Lubiła rośliny, stare filizanki i drogi, przy których rosły dzikie grusze. Potrafiła bardzo się ucieszyć, ale radość najpierw sprawdzała w sobie, zanim pokazała ją komuś innemu.

Jakby każda radość przed wyjściem z niej musiała stanąć przed małym wewnętrznym urzędem.

Czy jest rozsądna?

Czy nie przesadzona?

Czy nie będzie komuś głupio?

Czy nie okaże się śmieszna?

Czy nie trzeba będzie jej zaraz tłumaczyć?

Jej dzieci były inne.

Dzieci zwykle próbują przywrócić domowi to, co dom zgubił, zanim nauczą się, że mogą za to zapłacić własnym gardłem.

— Mamo, zobacz, samolot! — krzyczał Ignas z balkonu.

Marta wychodziła.

Ale często wychodziła z połową siebie.

— Widzę, widzę.

Nie widziała. Szukała ręcznika na pranie, sprawdzała w głowie obiad, myślała o mailu z pracy.

— Nie patrzysz! — mówił Ignas.

— Patrzę przecież.

— Nie tak.

To „nie tak” drażniło ją.

Bo przecież była dobrą matką. Gotowała, czytała, przytulała, zapisywała na basen, pamiętała o szczepieniach, znała imiona kolegów, kupowała plastelinę, robiła kanapki w kształcie trójkątów, kiedy dzieci miały trudniejszy dzień.

A jednak dziecko mówiło: **nie tak**.

Pewnego popołudnia Łucja przybiegła z ogrodu.

— Mamo! Sarenka!

Marta stała przy zlewie. Na kuchence kipiały ziemniaki. Telefon dzwonił. Paweł szukał kluczy. Ignas kłócił się z klockiem, który nie chciał pasować do drugiego klocka.

— Zaraz! — zawołała.

— Mamo, teraz!

— Łucja, widzisz, że mam ręce mokre.

Dziewczynka zamilkła.

To nie była wielka cisza. Tylko taka, która mieści się w małym gardle i zostaje tam dłużej, niż powinna.

Marta usłyszała ją dopiero po chwili.

Wytarła ręce i wybiegła do ogrodu.

Sarenki już nie było.

Łucja stała przy płocie.

— Poszła — powiedziała.

— Może jeszcze będzie.

— Ale ta była teraz.

Marta chciała powiedzieć: przecież nie mogłam. Przecież ziemniaki. Przecież telefon. Przecież ja też nie mogę wszystkiego.

Ale spojrzała na córkę i zobaczyła nie pretensję, tylko samotną radość, która nie znalazła drugich oczu.

Tego wieczoru Marta zadzwoniła do Teresy.

Nie planowała tej rozmowy. Czasem człowiek dzwoni nie dlatego, że wie, co chce powiedzieć, tylko dlatego, że jakieś dawne miejsce w nim usłyszało własne dziecko.

— Mamo — powiedziała — pamiętasz mój rysunek konia?

— Jakiego konia?

— Tego, który nazwałam pieskiem.

Teresa zaśmiała się.

— Oj, Martuś, ja wielu rzeczy nie pamiętam.

— Ja pamiętam.

Po drugiej stronie zapadła cisza.

Teresa nie lubiła takich początków. Wołała pytania o zdrowie, dzieci, pogodę, zakupy, leki. Tam wiedziała, jak być matką.

— Coś się stało?

— Dzisiaj Łucja wołała mnie do sarenki, a ja nie poszłam od razu.

— No trudno. Sarenki chodzą, nie czekają.

— Właśnie.

— Marta, nie można rzucać wszystkiego dla sarenki.

— Wiem.

— To o co chodzi?

Marta usiadła przy stole.

— Może o to, że czasem nie chodzi o sarenkę.

Teresa milczała.

— Dziecko mówi „zobacz”, a my myślimy, że ono pokazuje rzecz. A ono czasem daje nam swoją radość do oczu.

Po drugiej stronie było słychać oddech.

— Ładnie mówisz — powiedziała Teresa niepewnie.

— Nie chcę ładnie. Chcę zrozumieć.

— Ja nie miałam czasu na takie rzeczy.

Marta poczuła stare ukłucie. To zdanie znała. Miało zawsze kończyć rozmowę: nie miałam czasu, było ciężko, trzeba było żyć, nie wymyślać.

Ale tym razem nie przyszła do matki po oskarżenie.

— Wiem, mamo.

— Naprawdę było ciężko.

— Wiem.

— Ty myślisz, że ja nie chciałam patrzeć na twoje rysunki?

Marta nie odpowiedziała od razu.

— Nie wiem.

To było najuczciwsze.

Teresa westchnęła.

— Może chciałam. Tylko ja zawsze najpierw widziałam, co trzeba zrobić.

To zdanie było małe, ale prawdziwe.

Marta poczuła, jak coś w niej przestaje się spierać.

— Ja też tak mam — powiedziała.

— Ty?

— Tak. Dziecko woła „zobacz”, a ja widzę ziemniaki, telefon i mokre ręce.

Teresa milczała długo.

— To patrz czasem — powiedziała w końcu.

Marta prawie się rozplakała.

Nie dlatego, że usłyszała wielkie przeprosiny. Nie usłyszała. Teresa nie była kobietą od wielkich przeprosin. Ale czasem jedno zdanie, wypowiedziane bez obrony, otwiera więcej niż długie pojednanie.

— Spróbuję — powiedziała Marta.

Następnego dnia kupiła samochód.

Nie nowy. Używany, srebrny, z rysą na tylnych drzwiach i fotelem, który trzeba było poprawiać przed jazdą, bo trochę skrzypiał. Ale dla Marty był piękny. Pierwszy samochód kupiony nie dlatego, że „trzeba było”, tylko dlatego, że naprawdę go chciała. Przez lata jeździła tym, co było rozsądne, dostępne, wspólne, pożyczone, konieczne. Ten samochód też był praktyczny, ale miał w sobie coś jeszcze: jej decyzję.

Pojechała nim do rodziców.

Jan wyszedł przed dom.

— Kupiłeś? — zapytał.

— Kupiłam.

Obszedł samochód dookoła.

— Który rocznik?

Marta uśmiechnęła się blado.

— Tato.

— Co?

— Najpierw zobacz.

— Przecież patrzę.

— Nie. Ty sprawdzasz.

Jan zatrzymał się przy masce.

— A to źle?

— Nie. Ale nie teraz.

Teresa stanęła w drzwiach.

— Ładny — powiedziała szybko.

Za szybko. Jakby chciała naprawić wszystkie rysunki koni jednym słowem.

Marta podeszła do niej.

— Mamo, nie musisz mówić, że ładny. Chcę tylko, żebyście zobaczyli, że się cieszę.

Jan oparł ręce na biodrach.

— Samochód trzeba sprawdzić, nie cieszyć się nim jak zabawką.

— Można jedno i drugie.

— A ile dałaś?

Marta zamknęła oczy.

W dzieciństwie w takim momencie wycofałaby radość. Schowałaaby ją, zmniejszyła, zrobiła praktyczną. Powiedziałaaby cenę, przebieg, historię serwisową, powód zakupu. Udowodniłaby, że ma prawo do radości, bo rzecz jest rozsądna.

Ale tym razem stała.

— Tato, cena będzie później. Teraz chciałam dać wam ją w oczy.

Jan spojrzał na nią, jakby powiedziała coś w obcym języku.

— Co?

— Radość. Chciałam wam dać radość w oczy.

Teresa usiadła na schodku.

— W oczy...

Powtórzyła to cicho, jakby sprawdzała smak słów.

Marta otworzyła samochód.

— Usiądziesz, mamo?

Teresa wstała powoli. Weszła do środka, usiadła na fotelu pasażera i położyła dłonie na kolanach. Przez chwilę wyglądała jak dziewczynka, która boi się dotknąć cudzej nowej rzeczy.

— Pachnie inaczej — powiedziała.

— Tak.

— Dokąd nim pojedziesz?

— Nie wiem jeszcze. Może najpierw po łucję do szkoły.

Teresa pogładziła deskę rozdzielczą.

— Cieszysz się?

— Tak.

— To dobrze.

Jan stał na zewnątrz.

Nadal chciał zapytać o silnik.

Widać było to po nim. Pytanie chodziło mu przy ustach jak pies przy furtce. Ale coś go zatrzymało. Może wiek. Może twarz córki. Może matka siedząca w aucie. Może słowo „radość”, które nie pasowało do jego narzędzi.

— No — powiedział w końcu. — Jak ci dobrze w nim, to dobrze.

To nie było poetyckie.

Ale dla Jana było prawie aktem odwagi.

Marta skinęła głową.

— Dziękuję.

Po południu pojechała po dzieci.

Łucja wybiegła pierwsza.

— Mamo! Nowy samochód!

— Używany.

— Ale nasz?

— Nasz.

— Mogę usiąść z przodu?

— Dzisiaj tylko na chwilę, jak stoimy.

Łucja usiadła, dotknęła kierownicy, spojrzała na matkę.

— Cieszysz się?

— Bardzo.

— To ja też.

Ignasz oglądał rysę na drzwiach.

— Tu jest zadrapanie.

Marta poczuła w sobie odruch: tak, wiem, dlatego był tańszy, nie przeszkadza, da się zrobić, samochód jest sprawny. Wszystkie zdania obronne ustawiły się gotowe.

Ale Ignasz dodał:

— Wygląda jak błyskawica.

Marta zaśmiała się.

— Rzeczywiście.

— To dobry znak?

— Może tak.

Pojechali powoli za miasto. Nie z potrzeby, nie po zakupy, nie do lekarza. Po prostu. Droga prowadziła między polami. Rzepak już przekwitł, trawy stały wysokie, niebo było jasne po deszczu.

Nagle Łucja krzyknęła:

— Sarenka!

Marta zatrzymała samochód na poboczu.

Nie zapytała: gdzie?

Nie powiedziała: tylko ostrożnie.

Nie zaczęła tłumaczyć, że nie wolno wysiadać.

Najpierw spojrzała.

Na skraju pola stała sarna. Cienkie nogi, uszy jak dwa nasłuchujące liście, ciało napięte do ucieczki. Patrzyła na nich chwilę. Potem zrobiła kilka skoków i zniknęła w zbożu.

W samochodzie była cisza.

— Widzieliście? — szepnęła Łucja, choć już nie trzeba było pytać.

— Widzieliśmy — powiedziała Marta.

I tym razem naprawdę.

Ignas dodał:

— Ona była jak brązowa iskra.

Marta spojrzała na syna w lusterku.

— Pięknie powiedziałeś.

Chłopiec zarumienił się z dumy.

Nie dlatego, że pochwaliła zdanie. Dlatego, że zobaczyła jego radość z tego zdania.

Wieczorem dzieci długo opowiadały Pawłowi o samochodzie, rysie-błyskawicy i sarence. Paweł słuchał, ale po kilku minutach wyjął telefon, bo przyszła wiadomość z pracy.

Łucja przerwała.

— Tato, nie masz oczu.

Paweł podniósł głowę.

— Mam.

— Nie tutaj.

Wskazała na siebie, na brata, na przestrzeń między nimi.

Paweł odłożył telefon.

— Przepraszam.

— My dajemy ci sarenkę.

Powiedziała to tak poważnie, że nikt się nie zaśmiał.

Paweł usiadł wygodniej.

— To dajcie jeszcze raz.

I opowiedzieli od początku.

Nie dlatego, że nie słyszał.

Dlatego, że tym razem chciał zobaczyć.

Od tego dnia w domu Marty zaczęło powoli zmieniać się jedno małe słowo.

Zobacz.

Nie zniknęły obowiązki. Nadal kipiały ziemniaki, telefony dzwoniły, rachunki przychodziły, dzieci gubiły czapki, Paweł wracał zmęczony, Marta czasem odpowiadała za szybko.

Ale coraz częściej ktoś zatrzymywał się przy tym słowie.

— Zobacz, jak mi wyszło ciasto.

Nie: ile cukru, czy dopieczone, czy nie za mokre.

Najpierw oczy.

— Zobacz, jaki zrobiłem domek z klocków.

Nie: posprzątaj potem.

Najpierw oczy.

— Zobacz, tato, chmura jak wieloryb.

Nie: zaraz, prowadzę.

Najpierw, jeśli bezpiecznie, oczy.

— Zobacz, mam, babcia ma nową apaszkę.

Nie: pewnie za droga.

Najpierw oczy.

Marta odkryła, że radość jest krótkotrwała nie dlatego, że jest słaba. Jest krótkotrwała, bo ma naturę iskry. Jeśli ktoś przy niej zdąży być, rozświetla twarz. Jeśli nie zdąży, nie zawsze wraca. Można później obejrzeć zdjęcie sarenki w internecie, katalog samochodu, rysunek konia, nagranie samolotu. Ale to już nie jest to samo.

Radość nie chce dowodu.

Radość chce świadka.

Po kilku miesiącach Teresa zachorowała.

Nie poważnie, ale na tyle, że kilka dni musiała leżeć. Marta przyjeżdżała z zupą. Jan krzątał się po domu nieporadnie, zły na garnki, na leki, na ciszę, na własne ręce, które przy praktycznych rzeczach nagle okazywały się mniej pewne, niż przez lata twierdził.

Pewnego ranka Teresa zadzwoniła do Marty.

— Przyjedź, jak możesz.

— Coś się stało?

— Nie. Chcę ci coś pokazać.

Marta przestraszyła się trochę, bo w ustach starszej matki zdanie „chcę ci coś pokazać” rzadko brzmiało jak radość. Przyjechała po pracy.

Teresa siedziała przy oknie w swetrze.

— Popatrz — powiedziała.

Na parapecie stał mały kaktus. Miał jeden bladoróżowy kwiat.

Marta spojrzała.

Naprawdę spojrzała.

Kwiat był delikatny, prawie niepasujący do kolczastej rośliny. Jakby coś miękkiego wydostało się z organizmu, który całe życie uczył się bronić.

— Piękny — powiedziała.

Teresa patrzyła nie na kaktus, lecz na twarz córki.

— Rano zakwitł.

— Czekaaś na mnie?

— Chciałam, żebyś zobaczyła.

Marta usiadła przy niej.

— Widzę.

— Nie wiedziałam, że ja też tak mam — powiedziała Teresa.

— Jak?

— Że chcę komuś dać radość w oczy.

Marta poczuła ścisk w gardle.

Na stole leżał stary album. Teresa otworzyła go powoli. W środku były zdjęcia: Marta z kokardą, Marta z rysunkiem, Marta z sankami, Marta przy choince, Marta z zeszytem.

— Ja chyba często patrzyłam dopiero potem — powiedziała Teresa.

Nie przepraszała.

Jeszcze nie.

Ale położyła palec na jednym zdjęciu. Mała Marta trzymała kartkę z koniem-psem.

— To był koń? — zapytała.

Marta zaśmiała się przez łzy.

— Tak.

— Ładny był.

— Nie musisz teraz mówić.

— Chcę.

— Mamo...

— Nie umiałam wtedy dać ci oczu. Miałam ręce pełne rzeczy.

Marta spojrzała na jej dłonie. Były pomarszczone, trochę spuchnięte, z plamami starości. Ręce, które obierały ziemniaki, niosły torby, prały, wycierały, liczyły pieniądze, poprawiały kołdry, zamykały okna, trzymały dom.

— Wiem — powiedziała.

— Ale oczy nie muszą być puste dlatego, że ręce są pełne.

To zdanie przyszło od Teresy tak niespodziewanie, że obie zamilkły.

Jakby stara matka oddała córce nie przeprosiny, lecz przysłowie.

Po chwili Jan wszedł do pokoju.

— Co wy tak siedzicie nad tym kaktusem?

Teresa spojrzała na niego.

— Kwitnie.

Jan podszedł.

— Mały.

Marta prawie się uśmiechnęła.

Teresa powiedziała spokojnie:

— Janek, nie mierz kwiatu.

Mężczyzna otworzył usta, ale je zamknął.

Popatrzył jeszcze raz.

— No... ładny kolor.

— Dobrze — powiedziała Teresa.

— Co dobrze?

— Że najpierw kolor.

Jan machnął ręką, jakby nie chciał brać udziału w ich dziwnych rozmowach, ale usiadł na krześle i patrzył chwilę na kaktus.

— Dziwne — powiedział.

— Co?

— Tyle kolców, a tu coś takiego.

Teresa uśmiechnęła się.

— Właśnie.

Marta zapamiętała ten dzień.

Nie jako wielkie pojednanie. Wielkie pojednania często są podejrzane, bo próbują za jednym razem opłacić całe zaległe życie. Zapamiętała go jako chwilę, w której trzy osoby patrzyły na kwiat kaktusa i żadna nie próbowała natychmiast uczynić go użytecznym.

Kiedy Teresa umarła kilka lat później, na jej pogrzebie Marta nie chciała wielkich słów. W kościele było spokojnie. Jan siedział skulony, jakby po raz pierwszy nie wiedział, co sprawdzić, naprawić albo policzyć.

Po pogrzebie dzieci znalazły w szufladzie babci małą kopertę. Była podpisana: **Dla oczu.**

W środku leżało zdjęcie kaktusa z różowym kwiatem i kartka.

Teresa napisała:

Nie zawsze umiałam patrzeć wtedy, kiedy dawałaś mi radość.

Często miałam ręce pełne życia i oczy pełne obowiązku.

Ale jeśli gdzieś tam zostały Twoje rysunki, samoloty, sarenki, sukienki, oceny, kubki, konie i wszystkie małe zachwyty, których nie przyjął od razu, to chcę Ci powiedzieć późno: widzę.

Nie wszystko można naprawić późnym widzeniem.

Ale może nie wszystko musi zostać całkiem niewidziane.

Marta czytała tę kartkę długo.

Łucja zapytała:

— Mama, płaczesz?

— Trochę.

— Smutno?

— Też. Ale nie tylko.

Ignasz spojrzał na zdjęcie.

— Babcia dała ci radość po śmierci?

Marta uśmiechnęła się przez łzy.

— Może raczej oddała mi oczy, których kiedyś nie miała wolnych.

Jan stał przy oknie. Milczał.

Potem powiedział:

— Ja też wielu rzeczy nie widziałem.

Nikt nie zaprzeczył.

Nie trzeba było go ratować przed prawdą.

Po śmierci Teresy Marta zaczęła przechowywać małe zdjęcia nie rzeczy, lecz chwil zobaczenia. Nie do publikowania, nie do albumu rodzinnego, nie do dowodów szczęścia. Miała pudełko podpisane: **W oczy**.

Było tam zdjęcie rysy na samochodzie, która wyglądała jak błyskawica. Zdjęcie pola, za którym zniknęła sarna. Zdjęcie kaktusa Teresy. Rysunek Łucji z napisem „brązowa iskra”. Bilet na pierwszy lot Ignasia, który potem jako nastolatek zakochał się w samolotach. Stara kartka z koniem Marty, odnaleziona w pudełku po butach, nadal trochę poplamiona.

Pewnego dnia dorosły już Ignasz przyjechał pod dom nowym motocyklem.

Marta usłyszała silnik i wyszła przed furtkę.

Syn zdjął kask.

— Mamo, zobacz.

Przez ułamek sekundy poczuła wszystko, co mogłaby powiedzieć: niebezpieczny, szybki, drogi, po co ci to, uważałeś przy wyborze, jaki silnik, masz kombinezon, ile kosztowało ubezpieczenie.

Wszystko było ważne.

Ale nie pierwsze.

Podeszła.

Motocykl lśnił w słońcu. Ignaś stał obok niego z twarzą dziecka, które kiedyś zobaczyło sarenkę i chciało mieć drugie oczy przy swojej radości.

— Widzę — powiedziała Marta.

— I?

— Masz oczy jak wtedy, gdy sarna skoczyła w zboże.

Ignaś zaśmiał się.

— Czyli podoba ci się?

— Podoba mi się twoja radość. Motocykl zaraz obejrzę jako matka.

— A teraz?

— Teraz jako oczy.

Przytulił ją.

Nie dlatego, że pozwoliła mu mieć motocykl. Był dorosły, nie potrzebował pozwolenia. Przytulił ją, bo jego radość nie została od razu zatrzymana przy bramie lęku.

Wieczorem Marta pojechała do Jana.

Był już stary. Chodził wolniej, mniej pytał o ceny, ale nadal lubił wiedzieć, czy okna są domknięte i ile kilometrów przejechało auto od ostatniego przeglądu.

Siedział na ławce przed domem.

— Ignaś kupił motocykl — powiedziała.

Jan zmarszczył brwi.

— Niebezpieczne.

— Wiem.

— Ma kask?

— Ma.

— Ubezpieczenie?

— Pewnie ma.

— Pewnie?

Marta usiadła obok niego.

— Tato, on przyjechał mi go pokazać.

Jan popatrzył na ogród.

— I co?

— Najpierw zobaczyłam jego radość.

Jan milczał.

— A potem będę się martwić — dodała.

— To można tak osobno?

— Uczę się.

Stary mężczyzna długo pocierał dłonie.

— Ja chyba nie umiałem.

— Wiem.

— Zawsze myślałem, że jak sprawdzę, to dbam.

— Dbaleś.

— Ale nie widziałem?

Marta nie odpowiedziała za szybko.

— Czasem nie.

Jan skinął głową.

Nad ogrodem przeleciał samolot. Wysoko, biały ślad przecinał niebo.

Jan podniósł rękę.

— Marta, zobacz.

Spojrzała w górę.

Samolot był mały, prawie srebrny w świetle.

— Widzę.

— Kiedyś zawsze mówiłem, że samoloty tylko hałasują.

— Mówiłeś.

— Ale ładnie idzie.

Marta spojrzała na ojca.

On naprawdę patrzył.

Nie na maszynę, nie na hałas, nie na koszt, nie na cel podróży. Na mały punkt w niebie, który przez chwilę dawał staremu człowiekowi dziecienną radość.

— Tak — powiedziała. — Ładnie.

Siedzieli obok siebie, dopóki samolot nie zniknął.

I może właśnie wtedy Marta zrozumiała, że nigdy nie jest za późno na pierwsze wspólne zobaczenie. Nie naprawia ono całego życia. Nie cofa wszystkich „zaraz”, „później”, „ile kosztowało”, „trzeba było”, „uważaj”. Ale wprowadza do starego domu małe okno.

A czasem małe okno wystarcza, żeby radość przestała żyć w piwnicy.

Po latach, gdy Łucja miała własne dziecko, przyszła do Marty z chłopcem na ręku.

— Mamo, on dzisiaj pierwszy raz zobaczył gołębia. Tak naprawdę. Cały aż zadrżał.

— I co zrobiłaś?

— Pomyślałam, że muszę nagrać.

— Nagrałaś?

— Nie.

— Dlaczego?

Łucja uśmiechnęła się.

— Bo przypomniałam sobie: najpierw oczy.

Marta wzięła wnuka na ręce.

Chłopiec pokazał palcem za okno.

— Tam!

Na płocie siedział zwykły wróbel.

Nie sarenka.

Nie samolot.

Nie pierwszy samochód.

Nie motocykl.

Nie kwiat kaktusa.

Wróbel.

Szary, nastroszony, mały.

Marta, Łucja i dziecko patrzyli razem.

Przez chwilę nic nie trzeba było robić. Nie trzeba było uczyć nazwy ptaka, robić zdjęcia, wysyłać babci, sprawdzać gatunku, komentować pogody ani mówić, że wróble są coraz rzadsze. Można było tylko dać dziecku oczy przy jego zdumieniu.

Wróbel odleciał.

Chłopiec zaśmiał się tak, jak śmieją się ludzie, którzy jeszcze nie wiedzą, że radość bywa odrzucana.

Łucja pocałowała go w głowę.

— Widzieliśmy — powiedziała.

Marta pomyślała wtedy o Teresie, o Janie, o rysunku konia, o sarnie, która zniknęła, zanim zdążyła do niej wyjść, o samochodzie z rysą jak błyskawica, o motocyklu Ignasia, o kaktusie, który zakwitł na kolczastej roślinie.

I zobaczyła, że radość w rodzinie nie zawsze ginie wtedy, gdy raz nie zostanie przyjęta. Czasem chodzi latami po domu, szuka wolnych oczu, puka do kolejnych pokoleń.

Dziecko woła: **zobacz**.

Dorośle dziecko woła: **zobacz**.

Stara matka woła: **zobacz**.

Ojciec pod koniec życia woła: **zobacz**.

I za każdym razem może chodzić o co innego na powierzchni: sarenkę, samolot, samochód, kwiat, wróbla, motocykl, rysunek.

Ale pod spodem płynie ta sama prośba:

nie zostawiaj mojej radości samej.

daj jej swoje oczy, choćby na chwilę.

Po śmierci Jana Marta znalazła w jego portfelu małą kartkę. Pismo było nieporadne, drżące, jakby zapisał to długo po czasie, ale nie umiał powiedzieć na głos.

******Najpierw pytałem, ile kosztuje.

Potem, czy działa.

Potem, czy bezpieczne.

Dopiero na końcu widziałem, że człowiek się cieszy.

Za późno nauczyłem się, że czasem trzeba najpierw popatrzeć, a dopiero potem być ojcem.******

Marta położyła kartkę do pudełka **W** **oczy**.

Nie było w niej triumfu.

Nie było rachunku krzywd.

Było późne światło.

A na wieku pudełka dopisała zdanie, które od dawna czekało:

Kiedy mówię: zobacz, nie zawsze pokazuję rzecz. Czasem proszę, żeby moja radość miała drugie oczy.

I odtąd w ich rodzinie powtarzano czasem, półżartem, półserio:

— Daj mi to w oczy.

Mówili tak, kiedy ktoś kupił nowe buty.

Kiedy zakwitła pierwsza nasturcja.

Kiedy dziecko nauczyło się gwizdać.

Kiedy ktoś upiekł chleb, który za bardzo pękł, ale pachniał jak dom.

Kiedy na niebie pojawiał się księżyc większy niż zwykle.

Kiedy stary pies po chorobie pierwszy raz podniósł ogon.

Kiedy ktoś przynosił dobrą wiadomość i bał się, że zaraz zostanie zmierzona rozsądkiem.

— Daj mi to w oczy — mówił drugi człowiek.

I patrzył.

Nie zawsze długo.

Nie zawsze idealnie.

Nie zawsze bez lęku.

Ale najpierw patrzył.

Bo radość nie potrzebuje wielkiej przemowy. Nie zawsze potrzebuje pochwały. Często nie potrzebuje nawet zgody.

Potrzebuje tylko przez chwilę nie być sama w oczach tego, kto ją przyniósł.